Nro 16.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 26 lipca 1845. **Rok szósty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 12 lipca 1845.

Stroje damskie. Piękna i trwała pogoda jaką tu więcej jak od miesiąca mamy, wyludniła prawie miasto, gdyż większa część mieszkańców bawi u wód lub po wsiach, i nie myśli jeszcze o powrocie: modystki też nasze zawsze dbałe o ładne wyglądanie naszych piękności, niezaniedbują przesyłać im zawsze świeże utwory swego przemysłu, mniej troszcząc się tą razą temi które w paryskich zostały salonach; wiejskie zatem będziemy opisywać stroje.

Wogólności strój biały jest tego lata najulubieńszym; amazonki, podwłośniki, koszule szwajcarskie najwięcej z białego indyjskiego płócienka, białego žakonetu lub jakiejkolwiek białej tkaniny; i gładkie, batystowe czepeczki, wąziutką obszyte korunką, stanowią strój od rannego wyjścia.

Co się tyczy sukień, tych krój nie zmienił się wcale, materie zaś z których są robione, są po największej części muszliny, bareże i inne lekkie i przezroczyste jedwabne tkaniny.

Wymienimy tu jednę z sukień jakieśmy na ostatniej widzieli wystawie; była ona z lekkiej jedwabnej materii jasno zielonego koloru, której spodnica ubrana była zprzodu dwoma szerokiemi pasomonami na dziesięć cali od siebie odstąpionemi, a pośrodku rząd dużych guzików. Stanik u tej sukni był w kształcie męskiej kamizelki, z małym kołnierzem i wyłogiem, na guziki zapinany, rękawy gładkie, mankietki muszlinowe.

Widzieliśmy także suknię białą muszlinową, której bryty przednie obszyte były trzema rzędami korunek; z stanikiem gładkim, otwartym zprzodu i podobnie jak spodnica korunkami obszytym; rękawy półdługie wąskie u góry, u dołu bardzo szerokie, także korunkami obszyte.

W kapeluszach niezaszła wielka odmiana, zawsze najulubieńsze są ryżowe, przystrajane podług upodobania, kwiatami, piórami lub wstążkami tylko. Widzieliśmy także kilka kapotek; jedna z krepy białej, z bukietem róż na kani, i wstążkami słomianego koloru pod spodem; druga z różowej krepy dwoma rzędami angielskich korunek obszyta i z piórem białem na boku.

Rańtuchy bareżowe, jedwabne, gazowe, korunkowe i inne zawsze mają wielką wziętość.

Stroje męskie. Fraki tak zwane francuskie z krótkiemi połami i o jednym rzędzie guzików są dziś strojem najulubieńszym, także tużurki krótkie i dużo podobne do nich, są najczęściej noszone; nierównie rzadziej można obaczyć teraz surdut długi z szerokim i długim stanem, chociaż takowy krój jego jest istotnie modny.

Tweda zapinana na obie strony lub też na jedną jest strojem powszechnie noszonym; niektórzy używają jej po wierzchu fraka lub tużurka; inni wprost zamiast surduta.

Kamizelki są bardzo rozmaitego kształtu, jedne mocno wykładane, drugie zapinane całkiem; jedne z końcami zaokrąglonemi u dołu, drugie ostro ściętemi, nakoniec jedne dość długie, drugie nie bardzo.

Spodnie najpospoliciej noszą szerokie, jednakże i obcisłe dają się widzieć niekiedy.

Rycina przedstawia: suknię jedwabną u której spodnica ubrana jest czterema rzędami korunek, i bufkami z tej samej materii, stanik drapowany korunkami ozdobiony, na głowie pukle girlandą ze świeżych kwiatów ubrane. Drugi szlafroczek jedwabny wprzodzie blondynami ozdobiony, kapelusz batystowy z piórem. Trzecia suknia batystowa w

przodzie korunkami i guzikami ozdobiona, stanik półwysoki trzy razy korunką obszyty, rękawy szerokie otwarte, kapotka krepowa wstążkami i kwiatami ubrana. Tudzież surdut i frak od przechadzki.

MARCIN CHUZZLEWILT,

kilka rysów Ameryki i jej mieszkańców

przez

KAROLA DICKENSA.

Ciąg dalszy.

»To być może« odrzekł Marcin.

»Ani też wszelki inny rodzaj dowcipu jak sądzę.«

»Wynaleziony! nie, i mnie się tak zdaje.«

»Dobrze więc!« zawołał pułkownik; »winniśmy tedy to wszystko starej ojczyznie, i starą ojczyznę ganić za to trzeba, a nie zaś nowę. Otoż i rzecz rozstrzygniona. Teraz jeżeli pan Jefferson Brick i wy sir, zechcecie być tak grzeczni i udać się naprzód, ja zamknę drzwi kantoru i wnet za wami pospieszę.«

Tłumacząc sobie te słowa w prostem znaczeniu jako hasło oddalenia się, Marcin ruszył ku wschodom do których przewodniczył mu pan korespondent wojny z wielką powagą. Pułkownik wnet połączył się z nimi, opuścili razem kantor Rowdy-Journal i zeszli na ulicę.

Marcin idąc rozmyślał, czyli czasem pułkownik nie zażartował sobie z niego jako cudzoziemca, lub czyli doprawdy było rzeczą podobną że on i jego zakład mógł swobodnie istnieć zostawając pod pieczą zwyczajów tego odrodzonego kraju.

Było rzeczą dość jasną, że pułkownik Diver, w zupełnej spokojności, w zaufaniu w silne i bezpieczne stanowisko swoje i doskonałe pojęcie publicznej opinii, bardzo mało dbał o to co Marcin lub ktokolwiek bądź inny mógł o nim myśleć; korzenno-przyprawne towary jego były do sprzedania i sprzedawały się; a tysiące czytelników jego miało takież same prawo zarzucania go błotem za udzielaną im odurzającą roskosz, jak niewstrzemięźliwy żarłok który składa na kucharza swego całą odpowiedzialność za zwierzęce swe nadużycia. Niczem nie możnaby więcej uradować pułkownika Diver jak gdyby mu kto powiedział, że żaden człowiek jemu podobny, nie mógłby z takim tryumfem przechodzić się po ulicy w żadnym innym kraju świata: gdyż to byłoby jedynie logiczne dla niego zapewnienie, iż on umiał zupełnie zastosować swoje prace do panującego smaku i był przedewszystkiem strykte i wyłącznie narodowym rysem Ameryki.

Szli tak sobie samotnie z jaką milę *) lub więcej przez piękną szeroką ulicę, którą pułkownik nazwał *Broadway*, a pan Jefferson Brick »biczem świata,« zwracając się nakoniec w jedną z nieprzeliczonych bocznych ulic, które jak gałęzie rozbiegały się od tej głównej ozdoby Nowego-Jorku, zatrzymali się przed domem niezbyt pokaźnej powierzchowności o jednem piętrze z zielonemi zaluziami przed każdem oknem, rzędem wschodów przed frontowemi drzwiami, parę jakichś białych ozdóbek z drzewa z tabliczką również białą przybitą powyżej młotka do stukania na której czarnemi literami stało wypisane nazwisko »Pawkins« a przy niej jakby dla straży kilka świnek ryło spokojnie ziemię szukając strawy.

Pułkownik zastukał śmiało do drzwi tego domu z miną człowieka który tam mieszka a wnet dziewczyna Irlandka wychyliła głowę z górnego okna aby zobaczyć ktoby to był i zbiegła drzwi odryglować. Tymczasem świnki zatrzymały pochód przez wschody bo przybyło im do towarzystwa kilka opaslejszych przyjaciółek z pobliskiej ulicy, lecz odegnane nareszcie krzykiem i biciem ustąpiły z placu, i poszły ukląść się spokojnie w poblizkim rynsztoku.

»Czy major jest w domu?« zapytał pułkownik wchodząc do sieni.

»Czy to o pana zapytujecie sir?« przemówiła dziewczyna z niejakiem wahaniem, które zdawało się oznaczać, że w tym domu nie jednym szczycono się majorem.

»A pana!« odrzekł pułkownik Diver zatrzymując się nagle i zwracając ku swemu korespondentowi wojny.

»O, niewolnicze plemie uciśnione despotyzmem Brytanii! pułkowniku!« zawołał patetycznie pan Jefferson Brick »słyszałeś pana.«

»O cóż tu idzie przez to słowo« zapytał Marcin.

»Nie spodziewałem się aby te słowo było kiedy słyszane w ojczyznie mojej, sir; oto cała rzecz« odrzekł p. Jefferson Brick; »chiba że jest użytem przez takie upośledzone jak to stworzenie, nieświadome błogich dobrodziejstw naszego rządu. U nas niema żadnych panów.«

»Toż tutaj wszyscy są właścicielami?« zapytał dobrodusznie Marcin.

Pan Jefferson Brick maszerował poważnie krokiem dziennika Rowdy nie dając żadnej odpowiedzi, bo i cóż było odpowiedzieć. Marcin postępując za nim myślał sobie w duchu że podobnoś wolni i niepodlegli obywatele Nowego-Jorku którzy przy moralnej wyż-

---

*) angielską.

szości swej uznawali redaktora dziennika Rowdy za swojego pana, mogliby składać lepszy hołd bogini wolności w nocnych marzeniach przy ognisku dymnej chaty rossyjskiego chłopa.

Pułkownik przewodniczył im do obszernej sali w tylnej części pomieszkania na dole, była ona dość jasną i wysoką lecz nadzwyczaj niewygodną. Składały ją cztery równe, zimne, biało pobielone ściany z takimże sufitem, lichy kobierzec, obrzydliwa ruina, rzęd stolików rozsuwanych razem od jednego końca do drugiego zajmujących cały środek, i najdziwaczniejsza zbieranina różnoformnych trzcinowych krzeseł. Przy jednym końcu tej jadalnej sali stał piecyk żelazny, przyozdobiony z obu stron wielkiemi mosiężnemi spluwaczkami w kształcie baryłek stojących na kwadratowej skrzyni i połączonych z sobą jak dwaj bracia siamczycy. Przed tym piecykiem kołysząc się w chwiejącem krześle, siedział z miną niedbałą i zaspaną z kapeluszem głęboko zacisniętym na głowie, słuszny i ctyły *gentleman*, który zabawiał się periodycznem spluwaniem przeżutego tytoniu, to w prawą to w lewą stronę spluwaczki, a po tej regularnie wykonywanej operacii wracał znowu do kołysania się w chwiejącem krześle. Młody murzyn w poplamionej białej kurtce zajęty był pilnie ustawianiem w dwa długie rzędy nożów i widelców przedzielając je w niewielkich ustępach karafkami z wodą, a przechodząc tak w processii w zdłuż tego bankietowego stołu, pociągał od czasu do czasu brudnemi rękoma swemi, brudniejszy jeszcze obrus zlany sosem w najrozmaitsze floresy i wiszący na bakier. Atmosfera tej izby była już sama z siebie dość duszną i gorącą z przyczyny piecyka, a dodawszy do tego zalatujące z kuchni wyziewy zupy i mięsiwa jako też przeżute resztki tytoniu smażące się w spluwaczkach przy piecu; stawała się ona prawie nie do zniesienia dla nieoswojonych z nią zmysłów cudzoziemca.

Gentleman w kołyszącem się krześle obrócony tyłem do przybyłych, i będąc wielce zajęty swoją intelektualną rozrywką, nie wiedział nic o ich wejściu aż dopóki pułkownik zbliżywszy się wprost do piecyka nie dołożył swój mały dodatek do spluwaczki po lewej stronie właśnie w tej chwili gdy major... gdyż ów roskoszujący przy piecyku *gentleman* był majorem... nachylał się nad nią. Major Pawkins poprawił wtedy zwolna ogień, i podniosłszy głowę przemówił ze szczególniejszą miną spokojnego utrudzenia i nudy jako człowiek któryby całą noc był na nogach (takąż samą minę Marcin zauważał w pułkowniku Diver i w panu Jefferson Brick.)

»Cóż tam słychać, pułkowniku!«

»Przyprowadzam tu *gentlemana* z Anglii, majorze, który ma zamiar nająć sobie tutaj pomieszkanie, jeżeli warunki będą dla niego dogodne.«

»Bardzo się cieszę widzieć cię Sir« przemówił major, potrząsając ręką Marcina, a żaden muszkuł jego twarzy ani zadrgnął; »jesteś zupełnie w dobrym zdrowiu, jak się spodziewam?«

»Nigdy lepiej,« odrzekł Marcin.

»A tu jeszcze będziesz lepiej« przemówił znowu major. »Tu zobaczysz wschodzące słońce.«

»Zdaje mi się iż widziałem je czasem wschodzące i w ojczyźnie mojej!« rzekł Marcin z uśmiechem.

»Ja sądzę że nie,« odrzekł major. Wymówił on te słowa w prawdzie ze stoiczną obojętnością jednakże tonem stanowczym który nie przypuszczał żadnej dalszej dysputy w tej materii. Gdy tak roztrzygnął tę kwestię, przechylił nieco swój kapelusz na jedno ucho aby mógł wygodniej podrapać się w głowę, i powitał pana Jeffersona Brick niedbałem kiwnieniem.

Major Pawkins (*gentleman* rodem z Pensylwanii), odznaczał się przez ogromnego rozmiaru czaszkę, wysokie żółte czoło i gęsty rudy włos; w skutku tych przyrodzonych darów uważany on był po kawiarniach, kantorach i innych podobnych miejscach zgromadzeń publicznych, za człowieka olbrzymich zdolności. Dalej odznaczał on się wzrokiem zamglonym, ospałym, miną leniwą, opieszałą, jako człowiek który, (mówiąc przenośnie) potrzebował wiele miejsca, aby się obrócić. Lecz handlując towarem mądrości swojej, trzymał on się niezmiernie tej zasady, aby wszystkiem cokolwiek w nim było dobrego (i więcej nawet) świecić ludziom bezustannie przed oczy; tojest wystawiać swój i nie swój towar za szkło przed okiem przechodniów i zyskiwać tym sposobem roje wielbicieli. Do tej liczby należał tąż drogą uzyskany pan Jefferson Brick, który przy zdarzonej sposobności nie omieszkał poszepnąć w ucho Marcina.

»Jeden z najznakomitszych mężów naszej ojczyzny Sir!«

Niemożna jednakże przypuszczać, aby bezustanne wystawienie na targowicy całego towaru swego do sprzedaży lub najęcia było jedynym ze sposobów jakie major Pawkins używał dla zyskania sobie w wysokim stopniu współczucia i poważania u współziomków swoich. Był on głębokim politykiem; a jednym z artykułów jego wiary w odniesieniu do wszelkich obywatelskich obowiązków, publicznych usług, zawierającym oraz w sobie wszystkie artykuły wiary publicznego zaufania i moralnej czystości jego ojczyzny, było: »wściubić mokre pióro zawsze i wszędzie i mieć na wszystko gotową odpowiedź.« To czyniło go wiel-

kim patriotą, w interesach handlowych był on śmiałym spekulantem. Wyraźniej mówiąc posiadał on znakomity geniusz do oszustwa, potrafił dokładnie wyprorokować zmiany burzy, negociować pożyczkę, lub uorganizować kompanię spekulującą o grunta odłogiem leżące w jakiejś tam nieznanej stronie (tojest, oddać na pastwę zniszczenia morowej zarazy i przedwczesnej śmierci tysiące rodzin nieszczęśliwych wychodźców, w spółce z jakimsiś dowcipnym przemysłowiczem swojej ojczyzny, która ma podostatkiem podobnych *gentlemanów!* Potrafił on, przewiesiwszy swoją ociężałą figurę przez kantor, rozprawiać przez dwanaście godzin bez przerwy o interesach narodowych i nienarodowych, i przez ten czas z uporczywą i ociężałą miną, podwyższać wszystkie stawki, przeżuwać więcej tytoniu, kurzyć więcej tytoniu, pić więcej rumu, miętowego syropu, mocnego wisky, jak którykolwiek bądź *gentleman* z jego znajomych. To czyniło go znakomitym mowcą i popularnym człowiekiem. Jednem słowem, major Pawkins był charakteru przedsiębierczego i znajdował się na prostej drodze wyniesienia na członka izby stanów w Nowym-Jorku jeżeli nie w samym Wasyngtonie. Lecz ponieważ prywatne stosunki i domowa pomyślność obywateli nie zawsze są w zgodzie z patriotycznym poświęceniem się dla spraw publicznych, a interesa przemytnicze i spekulacyjne mają tak swoje korzyści jako i straty; major znajdował się czasami w niemałej tarapacie. Z tej przyczyny właśnie teraz Mistrisse Pawkins utrzymywała dóm do wynajęcia dla lokatorów, a major Pawkins, cukrował sobie kwaśne chwile gospodarza zajezdnego domu, rozmaitemi sposobami.

»Wybrałeś czas do odwiedzenia ojczyzny naszej Sir, w porze wielkiego handlowego ucisku« przemówił major po dość długiem zadumaniu.

»W zatrważającem kryzis« dodał pułkownik.

»W porze niesłychanej stagnacii« dorzucił pan Jefferson Brick.

»Wielce mię zasmuca ta wiadomość, lecz przecież można mieć nadzieję że to długo nie potrwa.«

Marcin był wielkim nowiciuszem co się tyczy znajomości Ameryki, bo inaczej byłby o tem wiedział doskonale, że gdyby przyszło wierzyć każdemu pojedyńczemu jej obywatelowi, bez żadnego prawie wyjątku; ojczyzna ich zawsze jest uciśnioną w handlu, zawsze znajduje się w zatrważającem kryzis, zawsze w niesłychanej stagnacii, i nigdy inaczej; chociaż z drugiej strony, zbiór tychże samych obywateli w jedno ciało gotów jest w każdej godzinie dnia i nocy i na każdem miejscu złożyć uroczystą przysięgę na cztery ewangelie: że ich ojczyzna znajduje się w najszczęśliwszym, w najpomyślniejszym stanie ze wszystkich krajów na całej kuli ziemskiej.

»Można mieć nadzieję że to długo nie potrwa« powtórzył Marcin.

»O zapewne« odrzekł major z powagą, »będzie szło i tak i siak przez jakiś czas, a w końcu pójdzie dobrze.«

»My jesteśmy elastycznym narodem« przemówił Rowdy-Journal.

»Jesteśmy młodym lwem« dorzucił p. Jefferson Brick.

»My mamy ożywne i silne zasady w nas samych« mówił major powstając; »czy nie wypilibyśmy kieliszeczek piołunkówki przed obiadem, pułkowniku!«

Gdy pułkownik przystał na to z uprzejmem zadowolnieniem, major zaproponował przejść do sąsiedniej kawiarni, wtedy odsyłając Marcina do Mistrisse Pawkins dla zawiadomienia się o warunkach pomieszkania i stołu, dodawszy iż wspomnianą lady będzie miał przyjemność ujrzeć przy obiedzie który w krótce nastąpi gdyż brakuje tylko kwandransu do godziny drugiej o której zwykle jadają; przypomniał sobie oraz że gdy miał napić się kminkówki nie było czasu do stracenia; zabrał się wtedy do wyjścia nie dodawszy więcej i słowa zostawując drugim wolną wolę udania się za nim.

Gdy major Pawkins powstał z kołyszącego się krzesła z przed kominka, zakłócił tym sposobem gorące powietrze i duszące wyziewy z kuchni które jak mgła gryzły w oczy, mocny zapach przedawniałego tytoniu wziął taką górę nad innemi zapachami iż niepozostawało żadnej wątpliwości że ten odor pochodził z odzieży tegoż *gentlemana*. W rzeczy samej gdy Marcin szedł tuż za nim udając się do kawiarni, nie mógł powstrzymać się od pomyślenia sobie w duchu, że ta ogromna prawie kwadratowa bryła zwana majorem Pawkins, z swoją miną próżniaczą i opasłą podobną była do łodygi starego tytoniu, wykopanej w publicznym ogrodzie dla oszczędzenia młodych latorośli, i rzuconej na odpowiedniej natury gnoisko.

W kawiarni napotkał więcej takich starych łodyg; oprócz niczem nieugaszonego pragnienia, odznaczali się oni niepospolitem niechlujstwem tak w sukniach jak i w osobach swoich i rozmowy ich były również brudne, hałaśliwe, żadnym hamulcem przyzwoitości niepowstrzymywane przerywane tylko częstemi libacjami gorącego trunku.

Nasi czterej znajomi wracali do siebie krokiem wymierzonym, powolnym; Marcin ręka pod rękę z panem Jeffersonem Brick, a przed niemi pułkownik z majorem w takiejże samej pozycii, gdy przechodząc koło

jednego domu o kilkanaście kroków od pomieszkania majora, usłyszeli silne dzwonienie. Skoro tylko ten odgłos obił się o ich uszy, pułkownik i major wzdrygnęli się nagle, i w tejże chwili pędem jakby lunatycy biegli ku swemu pomieszkaniu, doścignęli wraz wschodów i znikli we drzwiach, podczas gdy pan Jefferson Brick wysuwając czem prędzej swe ramię zpod ramienia Marcina zrobił kilka śmiałych skoków i również zniknął jak kamfora.

O boże! pomyślał Marcin, bezwątpienia dom się pali! To było dzwonienie na gwałt.

Jednak nie widać było ani dymu, ani też czuć się dawał zapach pogorzelizny. Gdy Marcin tak dumał postępując niepewnym, zatrwożonym krokiem do pomieszkania Pawkins, trzech innych *gentlemanów* nadbiegło z różnych stron, z wyrazem trwogi i gwałtownego wzruszenia na twarzach, i z dzikim pędem rzuciło się w bok ku drzwiom wchodowym; u samych wschodów nastąpiło niejakie zamieszanie i wzajemne potrącanie się, chwilę trwała walka o pierwszeństwo wchodu; nareszcie silniejsze nogi i ręce zwyciężyły i wszyscy trzej zniknęli za zamykającemi się drzwiami. Marcin ciekawy i niespokojny pospieszył za nimi, lecz u samego już wejścia został potrącony silnie na bok i przewrócony na ziemię, przez dwoch innych *gentlemanów*, którzy jak się zdawało poszaleli prawie z gwałtownego wzruszenia.

»Gdzie to jest?« krzyknął Marcin zadyszany i niespokojny, do murzyna którego napotkał przy samem wejściu.

»W jadalnej sali, Sir; pułkownik zatrzymał przy sobie siedzenie dla was Sir.«

»Siedzenie! gdzie?« krzyknął Marcin.

»Przy stole Sir.«

Marcin wlepił na chwilę zdziwiony wzrok w murzyna, i nareszcie parsknął tak serdecznym śmiechem, że murzyn zazwyczaj dobrego humoru i pragnący się przypodobać, zawtórował mu szczerze i błysnął swemi jak kość słoniowa białemi zębami. »Jesteś wesoły towarzysz jak widzę« rzekł Marcin klaskając go zlekka po ramieniu, »dodałeś mi więcej dobrego apetytu niż kminkówka.

W takiem usposobieniu udał się do sali jadalnej i prześliznął do krzesła tuż koło pułkownika, które ten *gentleman* (prawie już kończący w tej chwili swój posiłek) przewrócił był w rezerwie dla niego.

Towarzystwo zgromadzone wokoło bankietowego stołu składało z się ośmnastu do dwudziestu osób między któremi było pięć lub sześć kobiet siedzących jedna przy drugiej w ściśnionym szeregu. Wszystkie razem noże i widelce były w ruchu, w gwałtownym prawie zatrważającym sposobie; biesiądnicy mało słów zamienili między sobą, lecz za to zajadali tak łapczywie i bez przerwy iż zdawało się że każdy jadł co się wlazło dla własnej obrony, jakby zaraz po tym obiedzie miał nastąpić straszliwy głód przed jutrzejszem śniadaniem, i nie było czasu do stracenia by zadość uczynić najpierwszej potrzebie natury. Ptastwo wiejskie które jak można się było domyśleć z resztek, składało bezwątpienia najgłówniejszą zastawę biesiady... gdyż na samym środku stołu stało jeszcze parę potężnych indyków, a po obu bokach cztery kaczki i tyleż kapłonów... znikało tak nagle jak gdyby każdy z tych ptaków mógł był użyć swych skrzydeł, i w rozpaczy przeleciał przez gardła biesiadujących. Ostrygi suszone, świeże i ostro zaprawne w marynatach, wyskakiwały z potężnych mis i po kopie na raz prześlizgały w usta jedzących. Najostrzejsze marynaty, szynki, kiełbasy, potężne ogórki połykane na jeden kęs jakby słodkie karmelki; a żaden ani drgnął powieką: ogromne stosy najniestrawniejszych ingrediencij pochłaniane jakby lód od słońca. Było coś w całej tej scenie uroczystego a razem strachem przejmującego. Jakie też były uczucia mistris Pawkins przy każdym takim obiedzie, to zasłonięte jest przed ludzką wiedzą; jednę tylko miała w tem pociechę: że zwykle ów szturm przypuszczany do jej wiktuałów trwał bardzo krótko.

Ciąg dalszy nastąpi.

Do Helenki.

Kiedy wiosna pierwsze życie
Porozlewa po błękicie,
Trawkę skropi chłodna łza:
W jej uśmiechu tęskno, miło,
Jakby we dnie się coś śniło,
W nim jaśnieje postać twa!

Twoja dusza, serce czyste,
Jak krynicy dno przejrzyste
Gdzie niewinny tryska zdrój;
Choć się promyk światła wkradnie,
Na jej spodzie jakże ładnie!
Jej zwierciadłem?... obraz twój!

Co przemawia mile duszy
Kogoż? kogoż on nie wzruszy?
Kto z nim chwilę żył!
Tenby niechciał mieszkać w niebie
Byle tylko koło ciebie
Dłużej jedną chwilkę śnił.

Jakże pięknie ci w tej róży
Ona przyszłe szczęście wróży

Z kraju marzeń miły kwiat!
On powróci zapomniany
Chociaż dozna różnej zmiany
Z nim wspomnienie lat!

I przypomni znów pamięci
Co się wiecznie snuje, kręci,
Że z nim lubo było żyć!
Jego listki to są dzieje
Różnej treści... jak nadzieje
Co i później chcą się śnić!

O! szczęśliwa! twoja róża
Ma wiernego dla się stróża,
Gdy przypiecze życia skwar!
On nad tobą czuwać będzie,
W czasie burzy; wszędzie, wszędzie
Jedyny przechowa dar!

I starania swe dołoży,
I wybłaga uśmiech boży,
By prowadził cię!
By te gwiazdki co świeciły
Co się życiu drogo śniły
Niezgasały, nie!

O! Helenko! młode dziecię!
Wszystko dla cię na tym świecie
Zmienia barwę w piękny maj!
Wszystko dla cię się zieleni
Wiosna uśmiech swój niezmieni
Błogi, błogi kraj!

Gdzie zaniosą cię anieli
Tam twój uśmiech rozweseli,
Długich cierpień gorżką łzę!
I szczęśliwy ten kochanek
Co uwieńczy skroń w twój wianek
Co posiędzie cię!...

Witalis.

Uwagi
nad moralnemi chorobami.

Szanowny mości redaktorze!

W dawniejszych poszytach warszawskiej Biblioteki, a teraz w osobnem dziełku pełnem różnego rodzaju ramotek... jakiś chirurg począł robić swoje uwagi nad moralnemi chorobami XIX stulecia; a wraz przepisywał leki, które mniej więcej zdały się być zdatnemi, sobie przeznaczone uleczać słabości... przecież bez doświadczenia tychże trudno pewnie sądzić o ich wartości... bo zdaje mi się, że lek dopiero wtedy jest lekiem, jeżeli swój cel zupełnie osiągnie... więc pewną słabość radykalnie uleczy... środki bowiem na chwilę mitygujące chorobę nie godzi się zwać lekami.... Otóż wielce szanowny chirurg, robił, jak się sam wyraża, postrzeżenia warszawskie; myślałem, czyliby nie można i skądinnąd podobnych robić postrzeżeń? wszakże i cielesne choroby nie wszystkie do razu ani w jednem spostrzeżono miejscu; a ponieważ przy pierwszej zaraz próbie taką dostrzegłem słabość, o której postrzegacz warszawski ani petersburgski do tych czas nie wspomniał, (być może że takowa w tamtych nigdy nie dojrzewa klimatach) sądzę że nie zgrzeszę, jeżeli i ja, acz żaden chirurg, opisaniem tejże słabości światu się przysłużę. Choroba moralna więc, którą dostrzegłem, a którą podobało mi się nazwać:

Gorączką dowcipową,

jestto choroba cięźka, w paroxyzmach się pojawiająca, a jako taka, albo już w samym zarodzie trudna a później w zupełnem rozwinieniu się prawie niepodobna do uleczenia; jednakowoż częste, różnorodnych środków doświadczanie, okazało, że i tej chorobie tamę położyć można, byle tylko użyte środki tak do komplexii pacienta jako i stopnia choroby jak najstaranniej dobrane, zastosowane były. Ona bowiem ludzi każdego wieku, stanu i temperamentu, wyjąwszy dzieci zarówno razi, tylko, że się różnie u różnych objawia... ale, aby ile możności najjaśniej poznaki i naturę choroby wyłożyć, opiszę waćpanu jednego z chorych na gorączkę dowcipową:

Człowiek pełnoletni, więc dwadzieścia dobrze obłożonych lat wieku, znający mniej więcej historię powszechną i literaturę krajową i zagraniczną, która-to jeszcze nie dosyć był zgłębił, a w obydwu dość często z mylnemi występywał datami, znający częściowo filozofię Kanta i Hegla, przytem kilka języków, mający szczyptę doświadczenia i wiadomości praktycznych z życia i podróży po kraju... począł pisać; a ponieważ już z natury żywego był temperamentu i wesołego humoru, więc pisał stylem lekkim, prostym, humorystycznym... pisemka jego, najczęściej treści także lekkiej i humorystycznej błyszczały miejscami lekkim dowcipem, naiwnością, dowcipną grą słów, a czasem nawet trafnością w oddaniu rozmów szczególnych charakterów szczęśliwie schwytaną, którato, gdy ją ujrzymy i uczujemy, czasem mimowolnie nam usta do śmiechu nastraja. Póki więc pisarz pisywał stylem lekkim bez napuszenia i chęci upstrzenia swego pisma ostrym dowcipem lub nadzwyczajną trafnością w opisach... był lubiony, chwalony, chętnie czytamy, ale miłość własna, która tylko czyha aby się wślizgnąć w serca ludzkie i je opanować, zdradziecko wkradła się w miękkie serce pisarza; poczęły go wszakże nudzić pochwały czytelników i słuchaczy, zapragnął aby go ubóstwiano.

Od tej chwili, w bardzo krótkim czasie kark mu ztwardniał, przezco głowa znacznie wyżej się nosić zaczęła, chrząstka w nozdrzach zżelaźniała prawie, więc i nos o wiele podniósł się wyżej, a na twarzy prócz dumy i chęci panowania nad ludźmi, zaczęły osiadać jakieś gorączkowe kolory; zarazem począł się tak w pisaniu jak i w mowie przymuszać do dowcipu; w takich chwilach przymuszania się napadał go jakiś gorączkowy paroxyzm, plótł wtedy rzeczy niestworzone, lub samą już naturą od siebie zupełnie różne, gwałtem za uszy do jednego woru, *inter dua commata,* wciągał, z czego wedle gorączkowego zdania rodzić się miał dowcip, o którym zupełnie inaczej począł sądzić, myśląc że tylko on jest najwyższym objawem najgłębszego rozumu i najbystrzejszego wzroku, a nie uważał tylko li to za dowcip, z czego się niewolniczo do rozpuku uśmiać trzeba, a taki nito nadzwyczajny pomysł podziwić.

Wprowadzanie dawniej dobrych i używanych, teraz już przestarzałych i zarzuconych bo teraźniejszemu duchowi języka i ogólnemu postępowi przeciwnych, a więc dziś może śmiesznych, wyrazów i formuł w pisaniu i mowie, może być także dowcipnem ale nie zawsze, tego bowiem rodzaju dowcip zależy od zręcznego nadania akcentu tym wyrazom lub wiernego zachowania pierwotnej pisowni; chorzy na febrę probują w paroxyzmach szczęścia, w tego rodzaju dowcipowaniu, a chcąc koniecznie słuchacza rozśmieszyć, rozśmieszają go ale nie śmiesznością tych słów lub formułek, tylko przez niezgrabne ich użycie, samemi sobą.

W napadach czyli paroxyzmach lubią się wedle sposobności pisemnie lub ustnie popisywać dowcipami, i mają ową nieprzymuszoną a nieugiętą wolę pobicia wszystkich i zdumiewania swoiem trafnem zdaniem i łatwością rezonowania; mówią wtedy wiele, i bardzo wiele, są bowiem tego zdania, że łatwiej w skrzyni niż w garstce śmiecia świecącą znaleść szpilkę; twarz im się wtedy rozpłomienia i wpadają w jakiś rodzaj gorączki... która się o tyle powiększa, o ile częściej im się plaskie wyrywają zdania, dowcipy nieudają, o ile częściej po wyrzuceniu słów kilku, z których w ich nadziei całe grono słuchaczy od śmiechu parsknąć a od podziwu zdumieć miało, obojętne następuje milczenie; lub gdy ich płaskie lub niewczesne zdanie, ktoś prawdziwem pobije, wówczas chorego w gorączkowych płomieniach zdradliwa opuszcza pamięć i przytomność, miesza się częściej, w zapale powtarza kilkakroć już wyrzeczone okresy lub wykrzykniki, lub żywo cytuje wszystkim znajome cudze dowcipy, udając je za swoje.

Po takim gwałtownym paroxyzmie, jeżeli ten się odbywa między ludźmi, których chory zna za ludzi rozsądnych i z pewnem zdaniem, następuje chwilowe omdlenie, (ale nie mdłości) chory chwilę milczy, obraca się ku oknu, chłodzi się, gorączka zwolna przemija a jej miejsce zajmuje cała febra którym wewnętrznie bez miłosierdzia trzęsie, nabija i tłucze, bez powierzchownego objawienia się; w takim zimnym paroxyzmie pacient widocznie z siebie niezadowolony, złorzeczy losowi, że go w tak niedobrane cisnął towarzystwo; przyznaje w końcu ale tylko sobie, że był w chwili nieusposobienia; tłumaczy sobie złe skutki tem że cierpiał ból głowy, lub inny, że słuchacze nie umieją żadnego z jego dowcipów ani zdań ocenić, ani uczuć, wyrozumieć nie są w stanie, itd.

Po chwili paroxyzm zimny przemija, chory pomału przychodzi do zdrowia, a najprędzej to się dzieje, jeżeli w tem towarzystwie są kobiety, albo, co nierównie lepiej, wesołe panienki; pacient winien niezwłocznie udać się pomiędzy nie, tam niezawodnie snadniej mu się dowcipy udawać będą, i po bardzo krótko trwającem dowcipkowaniu zupełnie wyzdrowieje; co jednakowoż, acz chwilowe zbawienne przynosi skutki, poźniej to sprawia, że następny paroxyzm znacznie mocniejszym jest, i nierównie więcej go wylania żółci kosztuje.

Uwagi godnem w końcu jest to, że tej słabości tylko tacy wyłącznie ludzie dostają, którzy z natury do dowcipów mierne mają zdolności.

Za radykalne uleczenie słabości, ręczyć niemożna; ale... co lepsze środki, wymienię.

Najskuteczniej jest podczas paroxyzmów, wpuszczać z chorym do walki człowieka dowcipnego z jednem i pewnem zdaniem; któryby go z każdej strony bez miłosierdzia pobijał, jego zdania niweczył, z dowcipów urągał; a to w obec zgromadzonego licznego towarzystwa; paroxyzm gorączkowy natychmiast przeminie, zimny trwać będzie dłużej... ale na przyszłość dobre skutki niezawodne.... Po kilkakrotnem zażyciu tego środka, słaby do zupełnego przyjdzie zdrowia, zejścia się z przeciwnikiem swoim unikać niebędzie, bo w zarozumiałości ma nadzieję na odwrót go pobić. Ale przedewszystkiem dla uleczenia cierpień fizycznych trzeba choremu niezwłocznie dwie filiżanek upuścić krwi, postawić dwadzieścia pijawek na karku, przezco tenże zwolnieje i do naturalnej powróci gibkości, co trzeci dzień dawać choremu (*per modum* tabaki) zażywać paprykę miałko utartą, przez co chrząstka w nozdrzu zmiękníeje, i nos nieco niżej opuści; w końcu nieomieszkać, kart-

kami wydartemi z wielce dowcipnego dziełka *»Don Kiszot z Manszy«* które pierwej świeżym dziegciem namazać należy, okładać skronie i serce chorego; kuracia zimną wodą, a osobliwie okładanie lodem głowy, pigułki *Morysona... Le Roi...* a w końcu przykre okoliczności, nieszczęścia światowe, są to tylko prezerwatywy.

»Kończę moją dzisiejszą korespondencię prośbą, »abyś waćpan dobrodziej nie raczył odmówić w swo»jem pismie dla mojej ramotki jakiego skromnego ką»cika przy szarym końcu; co jeżeli nastąpi, będę miał »honor przesłać waćpanu dobr. jeszcze kilka już go»towych opisów chorób moralnych, jako to: Zapale»nia szlachetnej strony serca (*furor ingenuus*); sple»nu literackiego, suchot literachich... hipochondrii pi»sarskiej itd. itd., które jako postrzeżenia nie-war»szawskie gdzieindziej umieszczać niegodziłoby się.«

Z wysokiem poważaniem

Zygmunt K.........

Nad Sanem, dnia 1. Czerwca 1845.

Nowości literackie.

Autor »Ramot i Ramotek literackich,« obecnie zajmuje się wykończeniem tomu III i IV tegoż dziełka, które publiczność polska tak dobrze przyjęła.

Xięgarze warszawscy przedsiębiorą obecnie dosyć nakładów. I tak: Sennewald już rozpoczął druk dzieła Kazimierza Wojcickiego w trzech tomach pod napisem: »Hiistoria literatury polskiej w zarysach.« Merzbach w dalszym ciągu Biblioteki historycznej drukuje: »Historię Anglii.« Leon Glücksberg kończąc wydanie kroniki Stryjkowskiego, doda wiadomość o życiu tego kronikarza, napisaną przez pana Mikołaja Malinowskiego. Orgielbrand drukuje: »Pamiętniki do panowania Zygmunta III., Władysława IV., i Jana Kazimierza« z dawnego rękopismu; wkrótce zaś zacznie drukować: »Panowanie Jana Kazimierza« napisane przez Michała Krajewskiego znanego z opisu życia Stefana Czarnieckiego, w wyborze pisarzów polskich Tadeusza Mostowskiego.

W Wilnie wkrótce ma wyjść tom drugi »Bigosu hultajskiego.«

U nas wyszły:

Nauka języka polskiego z zasad Szreniawy, zeszyt drugi. Lwów 1845, nakładem Franciszka Pillera i spółki (str. 134.) O części pierwszej tego dzieła daliśmy wiadomość w numerze siódmym naszego dziennika z roku przeszłego.

Gramatyka niemiecka przez Dobromysła Łazowskiego nauczyciela pensionatu żeńskiego w Tarnowie część pierwsza. Tarnów 1845, nakładem autora. Wydanie tej xiążeczki, jest bardzo ozdobne i zawstydza ze względu typograficznego wiele xiąg drukowanych w krajowych naszych drukarniach. Z przypisku na str. 69. dowiadujemy się że autor ma wkrótce wydać »gramatykę języka polskiego« którą już wygotował.

Gramatyka języka małoruskiego w Galicii; ułożona przez Jana Wagilewicza. Lwów; wytłoczona w instytucie stauropigiańskim, r. 1845. (Przemowy str. XXIII. dzieła 181.)

Nauka obyczajowa dla ludu osobliwie wiejskiego przedrukowana. We Lwowie, nakładem Jana Milikowskiego 1845. Dziełko Grzegorza Piramowicza.

Regulacia stosunków włościańskich przez J Michalskiego, 1845. Artykuł ten był dawniej umieszczony w bibliotece warszawskiej; przedrukowany ztamtąd w osobnej xiążeczce będzie zapewne pożądany wszystkim w tych czasach, kiedy pytania dotyczące stanu wieśniaków naszych stały się przedmiotem powszechnego zajęcia.

W przeszłym numerze dziennika naszego, mówiąc o ziomku naszym Antonim Parysie, skrzypku znakomitym, który przybył do nas, wspominaliśmy że kilka koncertów dać zamyśla. Lecz nadzieje nasze zawiodły nas, artysta bowiem spiesząc się do Odessy dokąd był już w podróży niemógł się dłużej zatrzymać w stolicy naszej, i dopiero za powrotem swoim, który we wrześniu nastąpi, w publicznych koncertach występować będzie. Jeżeli zdania zawarte w pismach pruskich dawały nam już niepospolite wyobrażenie o talencie jego, o ileż większe powzięliśmy o nim przekonanie, słysząc go grającego dwa razy w prywatnych zebraniach. Z pomiędzy wielu innych sztuk odegrał on trzeci koncert Beriota, Fantazie Wietama (*Vieuxtemps*), wariacie Dawida i Karnawał wenecki Ernsta, i w nich odsłonił nam bogactwo mistrzowskiej gry swojej tak śmiałej i wokończenie zaokrąglonej iż wszyscy przytomni znawcy mimowolnie zachwyceni wyznać musieli, że artysta który tak poczyna swój zawód, daleko zajść musi. Typem ogólnym jego gry, powiedziećby można jest połączenie doskonałe sztuki przełamującej z łatwością wszystkie trudności dzisiejszych utworów, i tej prostoty wzniosłej, która w muzyce jak i w każdem artystostwie jest cechą piękności. Co zaś grę jego jeszcze milszą dla nas robi, jestto pewna rzewność którę nazwaćby można cechą prawdziwie rodzinnego talentu. Jestto jakby boleść wielka rozpierająca piersi, którą artysta wylewa z siebie strumieniem harmonii tęsknej jak pamiątki, a uroczystej jak nadzieje, jak modlitwa. Życzymy mu, i spodziewamy się dla niego wielkich powodzeń, jakie go nie miną przy jego muzycznem usposobieniu, które zdaje się urokiem smyczka przeistaczać całą powierzchowność jego. Jakoż niemożemy tylko powtórzyć słowa, które dziennik berliński Figaro prócz innych pochwał powiada. »Pan Parys nie jest wprawdzie tak piękny jak jego sławny imiennik z góry Ida, w którym się trzy boginie zakochały; jednakże gra tak pięknie, że gdyby go te boginie słyszeć były mogły, zapomniałyby na piękne lica królewskiego młodzieńca, i artyście oddałyby pierwszeństwo.«

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.